



Michał Sobolewski

Był ktoś.

Nasza opowieść o Irenie Jarockiej składa się z dwóch części. Pierwsza z nich „Był ktoś – Michał” pochodzi z niewydanej dotychczas prywatnej autobiografii Artystki (Rozdział III „Był Ktoś”) i przedstawia okres Jej życia po przeprowadzce do Warszawy w 1976 roku. Druga część „Był ktoś – Irena” została napisana przez Jej męża Michała Sobolewskiego o ich ostatnich latach, które spędzili, mieszkając na osiedlu Winnica, znajdującym się na obrzeżach pięknego białołęckiego lasu.

1. BYŁ KTOŚ – MICHAŁ

*„Był ktoś, kto smutek otarł z twarzy
Jednym ciepłym słowem.
Był ktoś, kto z piasku mi zbudował
Teatr, w którym gram.
Był ktoś, kto mocniej wziął za rękę,
Poprowadził w ogień.
Był ktoś, tak zwyczajnie sam...”*

Janusz Kondratowicz

1.1 Pozornie prosty świat

W 1976 roku zdecydowaliśmy się na przeprowadzkę do Warszawy. Żał mi było opuszczać Wybrzeże. To był mój prawdziwy dom, a tamtejsza publiczność była moją najbliższą rodziną. Nazywali mnie nasza Irenka, a ja tak bardzo ich kochałam. Byłam im wdzięczna za zaufanie, wiarę i siłę, którą mi dawali. Czułam, że w pewnym sensie ich zdradzam. Obawiałam się, że będą mieli pretensje, że ich zostawiam choć okazali mi tyle serca. Nic takiego oczywiście się nie stało, były to tylko moje osobiste rozterki i wymyślone problemy. Wiedziałam, że mieszkając w stolicy, łatwiej nam będzie dopilnować wszelkich spraw zawodowych. Całe centrum show-biznesu tam właśnie się skupiało. Z drugiej strony podświadomie bałam się, że Warszawa nie da mi takiego poczucia bezpieczeństwa, że nie będę tam u siebie. Zatrzymaliśmy co prawda nasz dom w Gdyni, ale coraz rzadziej tam bywaliśmy. Ciągłe wyjazdy, trasy koncertowe i nagrania wypełniały nam czas bez reszty. Ta przeprowadzka nie tylko nie przybliżyła, ale wręcz oddalała realizację moich marzeń o stworzeniu ciepłego, spokojnego domu. Wszelkie plany związane z założeniem rodziny



wiecznie odkładaliśmy na później. Marian¹ czuł się w tym świecie jak ryba w wodzie, ja zaczęłam nabierać do niego dystansu. Sama kariera już nie wystarczała. Owszem było cudownie, odnosiłam znaczące sukcesy, ale moje głębokie tęsknoty coraz natarczywiej dawały o sobie znać. Nie potrafiłam już dłużej udawać, że ich nie było. Marian nie widział możliwości połączenia jednego z drugim. Dla niego najważniejsza była praca, a wszystkie inne sprawy mogły poczekać.

Myśli, 14 kwietnia 1976

„Zaczynamy gubić się z Marianem. Pochłonięci moją karierą, nie mamy czasu na normalne spokojne życie. Każdy moment podporządkowany jest sprawom zawodowym, 24 godziny na dobę w tym samym temacie. Marzę o dziecku, o normalnej rodzinie. Gdy wracamy do domu, on wychodzi do swoich kolegów. Może ma rację, trzeba trochę odpocząć od siebie. Coś niedobrego zaczyna się dziać między nami. Rosną moje niewypowiedziane pretensje. Zamykam się w sobie i zaczynam w nim widzieć tylko wady. To musi być przejściowe, docieramy się w ten sposób. Szkoda, że nie mogę mu powiedzieć o wszystkich moich rozterkach. Nie chcę awantur, nie chcę dołować jego ambicji. Powoli zaczynamy żyć odrębnymi światami.”

„Przemilczenia dzielą bardziej niż nieobecności”

Coco Chanel

1. 2 Michał – spotkanie po latach

Po tym, jak po raz pierwszy spotkaliśmy się w Leningradzie w 1968 roku, przez jakiś czas utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Niestety, bardzo szybko całkowicie pochłonęła mnie moja kariera i było coraz mniej czasu na listy. Widzieliśmy się jeszcze raz czy dwa, gdzieś w biegu, przez moment. Zrobił wspaniałe wrażenie na moich rodzicach, gdy w czasie mojej nieobecności odwiedził ich w Gdańsku. Potem kontakt się urwał. Kiedyś po koncercie w Morągu przyszła do mnie mama Michała mówiąc, że byłam jego sympatią. Wrócił do Polski, jest żonaty i szczęśliwy. Dała mi jego numer telefonu i prosiła, abym zadzwoniła. Nie skorzystałam. Los nie dał jednak za wygraną...

Podczas jednej z sesji zdjęciowych, jakie miałam z Renatą Pajchel, wyskoczyłam dosłownie na chwilę, aby zaśpiewać na jakimś koncercie w Sali Kongresowej. Gdy w pośpiechu opuszczałam Pałac Kultury, w holu ktoś mnie zawołał. Nie wierzyłam własnym oczom – ten sam Michał sprzed lat. Potem była wspólna kawa i odżyły wspomnienia. Miałam wtedy mnóstwo pracy i nie bardzo był czas, aby się spotykać. Zaczęłam jednak myśleć o nim coraz częściej.

Odkryłam, że poza show-biznesem też jest życie, wiedziałam o tym, ale nie korzystałam z niego w pełni. Potrafiłam za nim tęsknić, ale nie miałam siły powiedzieć dość. Życie samo przyszło do mnie, doświadczając mnie boleśnie.

¹ Marian Zacharewicz – pierwszy mąż Ireny Jarockiej.



*Irena Jaročka
i Michał
Sobolewski.*

W październiku 1976 roku zaprosiłam Michała do Sali Kongresowej na koncert z okazji XXV-lecia Polskich Nagrań. Po imprezie zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Czekał tam na nas Marian, który akurat przyjechał z Gdańska. Mieliśmy razem obejrzeć jakiś dobry film w Studio 2. Wstąpiliśmy jeszcze na Dworzec Centralny, aby kupić ciastka do herbaty. Jechaliśmy maluchem w kierunku Bielan. Na rogu Anielewicza i Andersa (wtedy Nowotki) doszło do wypadku. Wjechał na nas duży samochód prowadzony przez kapitana żegluga wielkiej, który (co za ironia losu) przyjechał do Warszawy po odznaczenie za ratowanie ludziom życia na morzu. Nie byłam zapięta pasami i uderzyłam głową o kant podnoszącej się maski, a kolana głęboko rozcięłam o półki samochodu. W szpitalu na ul. Kasprzaka pozszywał mnie dr Religa, który akurat pełnił tam dyżur. Byłam nieprzytomna przez 14 godzin.

Najpiękniejsze było przebudzenie. Nawet się nie przejęłam moim stanem, ból nie był taki straszny chociaż byłam pokiereszowana okrutnie. Liczyło się tylko to, że nie będę inwalidką i ciężarem dla kogoś. Leżałam spokojnie, odpoczywałam, a świat się nie zawalił. Na zewnątrz świeciło słońce, królowała złota polska jesień. Dawno nie widziałam tak pięknych kolorów. Śpiewały ptaki, wszyscy dookoła uśmiechali się. Żadnych nerwów, napięcia, że coś trzeba odwołać. Większość planów przełożono lub były już nieaktualne. Nagle nie miało to wielkiego znaczenia. Michał, który na szczęście nie odniósł większych obrażeń, odwiedzał mnie często. Lubiłam te wizyty. Bił od niego kojący spokój, siła i niesamowita pogoda ducha. Przynosił mi piękne wiersze, które napisał jeszcze w Leningradzie i wiedziałam już na pewno, że nasze ponowne spotkanie nie było zwykłym przypadkiem. Powoli inaczej zaczęłam oceniać moje dotychczasowe życie. Miałam wreszcie czas na refleksje i poczułam się wystarczająco silna, aby podjąć decyzje o zmianach, których nie mogłam już dłużej odkładać na później.

Za bardzo koncentrowałam się na mojej karierze. Byłam u szczytu popularności. Kalendarz miałam wypełniony po brzegi i nie było czasu na to, aby po prostu żyć. Wiedziałam, że muszę rozejść się z Marianem, ale nie miałam pojęcia jak to zrobić. Był przecież całym



motorem mojego działania. Fantastycznie nam się pracowało, inspirował mnie ciągle swoimi doskonałymi pomysłami. Niestety z nim liczyła się tylko praca. Nie było czasu na normalny dom, w którym czułabym się bezpiecznie. Nie winiłam go. Taka była wtedy nasza rzeczywistość. Ale te wieczne wyrzeczenia dla kariery, dla przedłużenia moich „5 minut” i tempo życia jakie sobie narzuciliśmy, obróciły się w końcu przeciwko nam. Byliśmy sobą po prostu zmęczeni. Początkowo taki styl życia bardzo mi odpowiadał. Kochałam śpiewanie i imponował mi świat, w którym żyłam. Mówiłam, że nie ma wytchnienia w piosenkarskim zawodzie i nie przerażało mnie to. Z czasem jednak przyszło zmęczenie i refleksja – dokąd ja właściwie tak pędzę? Zaczęłam tęsknić za życiem, które dla Mariana było całkowitą abstrakcją. Pogubiliśmy się w tej naszej pogoni za szczęściem.

„W życiu jest coś więcej do zrobienia, niż tylko zwiększać jego tempo”

Mohandas Gandhi

Marian nie zgadzał się na nasze rozstanie. Twierdził, że bez niego skończy się moja kariera. Realizował się w naszej wspólnej pracy i bez tego świat mu się zawalił. Był zrozpaczony, ale oboje wiedzieliśmy, że nie było sensu sztucznie utrzymywać naszego związku.

Zagraliśmy jeszcze kilka wspólnych koncertów. Mówiliśmy o daniu sobie ostatniej szansy. Żał mi było Mariana, ale przepaść między nami nieubłaganie rosła. Nie było już miłości.

Odeszłam.

„Nadzieja przychodzi do człowieka wraz z drugim człowiekiem”

Dante Alighieri

Czułam się okropnie. Nękały mnie wyrzuty sumienia, bezradność i niepewność, co dalej. Na szczęście był Michał. Ponieważ sam całkiem niedawno przechodził podobne rozterki, lepiej niż ktokolwiek rozumiał, co wtedy czułam. Dużo rozmawialiśmy i powoli mój świat odzyskiwał barwy. Zanim się spostrzegłam, nie wyobrażałam już sobie życia bez człowieka, który tym razem pojawił się po to, aby całkowicie je odmienić.

1.3 Moja nowa rzeczywistość

Michał zaczął zmieniać moje spojrzenie na życie. Odkrywał przede mną świat, którego nie dostrzegałam, a za którym podświadomie tęskniłam. Dał mi ogromną miłość, ciepło i poczucie bezpieczeństwa, którego wtedy bardzo mi brakowało. Stworzył solidne fundamenty, na których mogłam budować bezpieczną przyszłość. Na początku czułam, że tracę coś z mojego śpiewania. Z pasji, którą żyłam przez tak wiele lat i poza którą nie widziałam świata. Nagle musiałam moje piosenkowanie dzielić z nowymi wyzwaniem. Szczęśliwie Michał okazał się cudowną i silną podporą. Z zawodu jest informatykiem i logikiem, ale z duszą romantyka. Zawsze wrażliwy na dobrą muzykę, czyli taką, która porusza jego serce, pogodny, cierpliwy i otwarty na wszystko co nowe. Na początku obawiałam się trochę, jak poradzi sobie z tą zupełnie nową dla siebie sytuacją. Będąc po części własnością publiczną, siłą rzeczy i jego wciągnęłam w świat, gdzie światła reflektorów nie zawsze gasły po skończonym



koncercie. Bałam się, że ciężko mu będzie przywyknąć do moich nieobecności, że realizując się w mojej pracy, nie zdołam poświęcić mu wystarczająco dużo czasu. Na szczęście wbrew moim obawom Michał świetnie sobie z tym wszystkim radził. Zresztą, pracując wtedy jako naukowiec w Instytucie Podstaw Informatyki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie też sporo wyjeżdżał. Dzisiaj wiem, że te krótkie rozstania umacniały tylko nasz związek, nie pozwoliły, aby wkradła się weń rutyna czy nuda. Najwspanialsze były zawsze powroty. Lubiłam słuchać długich opowiadań Michała o przeżyciach związanych z każdą kolejną podróżą. Będąc człowiekiem niezwykle ciekawym świata, zawsze wiedział wszystko dokładnie i z detalami.

Gdy postanowiliśmy być razem, pierwszą zasadą naszego związku miało być mówienie sobie wszystkiego, bez kolekcjonowania pretensji i chowania głowy w piasek. Byliśmy zakochani, pełni planów i nie było przeszkód nie do pokonania. Michał, choć zajęty pracą, zawsze miał czas na moje większe i mniejsze problemy. Rozwiązywał je ze stoickim spokojem, zwykle radząc aby najpierw „przespać się” z danym kłopotem, a potem już łatwiej będzie dać sobie z nim radę. Kontynuowałam moją karierę, ale spokojniej. Liczyły się też inne sprawy, odkrywałam radości, na które wcześniej nie było czasu.

Wynajęliśmy mieszkanie, a wkrótce przeprowadziliśmy się do własnego domku na osiedlu Groty. Zaczęliśmy tworzyć nasz wymarzony wspólny dom z moim ogródkiem. Michał był pod tym względem bardzo zaradny i zawsze pełen pomysłów. Uwielbiał majsterkowanie, wszystko potrafił zrobić sam. Dom stał się jego hobby i poświęcał mu dużo czasu. Starłam się oczywiście pomóc. Ze wspólnym urządzeniem domu nie było kłopotów, natomiast przy próbach ze sprzętem technicznym było gorzej. Wszystko przez to, że... nigdy nie czytałam instrukcji (byłam przerażona trudnym językiem technicznym, nie znałam się na nim, a zresztą Michał był inżynierem w domu). Ilekroć coś nowego przybywało w naszym gospodarstwie, Michał do znudzenia powtarzał:

„Nie ruszaj niczego, dopóki dokładnie nie zapoznasz się z instrukcją”.

Próbowałam, ale zanim wśród piętnastu wersji językowych znalazłam polską, traciłam cierpliwość i „brałam sprawy w swoje ręce”. Stosowana przez mnie metoda prób i błędów kończyła się zwykle (chwała temu, kto wymyślił system gwarancji!) w serwisie napraw. Po kolejnej z rzędu „katastrofie” ustaliliśmy, że będę trzymała się jednak z daleka od wszystkiego, co ma kabel zakończony wtyczką i całą uwagę skoncentruję na garnkach i ścierkach od kurzu. Do tej pory prozaiczne, codzienne obowiązki gospodyni domowej były mi raczej obce. Przede wszystkim uważałam się za totalnie beztalencie kulinarne. Nie należę jednak do ludzi, którzy łatwo się poddają. Postanowiłam dzielnie stawić czoła i temu zadaniu. Jak to zwykle bywa „nie taki diabeł straszny jak go malują”. Szybko okazało się, że sprzątanie cudownie relaksuje (zwłaszcza jak ma się panią do pomocy), a wymyślanie różnych potraw sprawia mi ogromną frajdę. Puszczalam wodze fantazji i wyczarowywałam wspaniałe sałatki, zapiekanki i gulasze warzywne. Odkryłam francuską potrawę quiche (tarta) i przygotowywałam ją na różne sposoby, a specjalnością domu było fondue serowe. Michał też trochę nauczył się gotować i robił mi miłe niespodzianki, gdy wracałam z tras. Nie zapomnę jego pierwszej w życiu potrawy „kura w przyprawie curry”, którą zrobił według przepisu z książki. Była pyszna! Przy okazji dowiedziałam się wszystkiego na temat tej przyprawy i jej wartości odżywczych.



Słynne były też nasze degustacje koktajli. Z całego świata zwoziliśmy oryginalne składniki. Goście mogli wybrać sobie koktajle z fachowej lektury, a Michał zamieniał się w barmana. Nazwy koktajli były często tematem do żartów jak np. „Marzenie poety”, „Zaproszenie do tańca”, „Zgadnij, o czym myślę”, „Stare pianino”, „Mina głębinowa”, „Tylko dla orłów” itd. Najpopularniejsza wśród pań była „Aleksandra”, mieszanka likieru kakaowego, koniaku, śmietanki i kruszonego lodu. Panowie woleli coś mocniejszego np. „Minę głębinową” czyli odpowiednią mieszankę wódki, brandy, whisky i sangrii z lodem. O dziwo, mimo wielu rozmaitych mieszanek, nikt od nas nie wychodził bardzo wstawiony, no może na przyjemnym rauszu.

Te na pozór prozaiczne wydarzenia dla mnie miały głęboki sens. Niosły ze sobą radości, których wcześniej nie znałam. Tworzyliśmy dom, który miał być odbiciem naszego wnętrza. Miejscem, do którego zawsze chce się z przyjemnością wracać. Żyjąc na walizkach, marzyłam, o takiej oazie spokoju i miłości. Kochałam i byłam kochana tak, jak nigdy przedtem.

2. BYŁ KTOŚ – IRENA

2.1 Wyprawa za ocean

W 1989 roku przyjąłem zaproszenie do kontynuowania na Uniwersytecie Wirginii Zachodniej w Morgantown moich prac naukowo-badawczych, które prowadziłem w Instytucie Podstaw Informatyki Polskiej Akademii Nauk. Początkowo planowaliśmy z Ireną wyjazd na dwa lata. Ostatecznie wydłużyły się do kilkunastu, gdyż ciągle kuszono mnie nowymi ofertami pracy i trudnymi, lecz niesamowicie ciekawymi tematami badawczymi. Co ważniejsze, miałem stale wrażenie, że wszyscy współpracownicy są po to, by mi się lepiej i efektywniej pracowało. Nigdy nie miałem takiego odczucia w PAN-ie. Natomiast Ireny środowisko artystyczne, jak i wierna publiczność, byli daleko za oceanem. Kilka razy w roku wracała na trasy koncertowe czy nagrania by „doładować” się na kolejny okres pobytu w miejscach mojej pracy (Wirginia Zachodnia, Nowy Jork, Texas, Ohio), które akceptowała jako tymczasowe zamieszkanie rodziny. Rodziny, którą ceniła najwyżej - a śpiewanie zaraz potem.

W tym amerykańskim okresie ja byłem zatopiony w pracy a Irena organizowała nasz dom i zajmowała się wychowaniem naszej córki Moniki. Nie tylko była wyśmienitym mistrzem kuchni, lecz głównie kapłanką ogniska domowego (wymagająca matka, żona, animator życia towarzyskiego i chorobliwa patriotka). Jednocześnie utalentowana i pracowita artystka, która potrafiła stworzyć piękne zbalansowane życie na obczyźnie, podczas gdy ja mogłem skoncentrować się na pracy zawodowej. Nasze role odwróciły się, w kraju ja więcej zajmowałem się domem, w Stanach obowiązki te przejęła Irena. Doprowadziła Monikę do ukończenia szkół i uniwersytetu. Obecnie Monika jest zdolną artystką projektującą różne formy komunikacji graficznej jak plakaty, broszury, książki, wystawy, czy strony internetowe. To ona zaprojektowała portal Ireny www.IrenaJarocka.pl.

Irena aktywnie pracowała społecznie na wielu frontach. W 2006 roku zorganizowała pierwszy Discover Poland Festival w Santa Monica w Kalifornii – festiwal promujący Polskę z jej osiągnięciami w różnych dziedzinach, m.in. kultury, sztuki, muzyki, nauki, biznesu i turystyki. Gościem honorowym tego festiwalu, zaproszonym przez Irenę, był Prezydent



Lech Wałęsa. Pomagaliśmy Jej z Moniką na ile pozwalał nam czas, gdyż dodatkowo przygotowywała własny recital na ten festiwal.

W tym przełomowym roku, widząc jak Irena żyje nadal Polską, widząc jak z zapałem przygotowuje swoją autobiografię do wydania w kraju, jednocześnie pracuje nad nowymi piosenkami do CD, jak stale Polska przewija się w rozmowach – wiedziałem, że powoli będziemy musieli przygotowywać się do powrotu do kraju. Monika już kończyła studia, była niezależna, a Irena wznawiała i umacniała swoje kontakty zawodowe w Polsce. Wtedy odwiedziliśmy z Ireną Warszawę. Gdy zobaczyłem, jak wspaniale się czuje w miejscach, za którymi tak bardzo tęskniła, zdecydowałem się na nawiązanie współpracy z Polsko-Japońską Wyższą Szkołą Technik Komputerowych, gdzie do tej pory jestem profesorem informatyki i raz w roku wygłaszam cykl autorskich wykładów.

2.2 Powrót do kraju

Przyroda zawsze odgrywała jakąś szczególną, niewytłumaczalną rolę w życiu Ireny. Jakby była nieodłączną częścią Jej samej. Częścią, bez której nie potrafiła funkcjonować. Tak było od dzieciństwa. Irena wraz z rodzicami i trójką młodszych braci mieszkała przy ulicy Słonecznej w Gdańsku Oliwie. Do pobliskiego lasu biegła niemal codziennie, by odpocząć od trzech urwisów i wśród szumiących sosen snuć dziewczęce marzenia. Uwielbiała te chwile.

Nawet, gdy zagrała w filmie, las musiał zagrać wraz z Nią. W kinowej wersji popularnego serialu, zatytułowanej „Motylem jestem czyli romans 40-latka”, Irena wcieliła się w postać pięknej piosenkarki Ireny Orskiej, uwodzącej tytułowego 40-latka, czyli inżyniera Karwowskiego. Pociągająca Orska, będąca gorącą zwolenniczką silwoterapii, wywoziła Karwowskiego za miasto do lasu na romantyczne spacerunki – koniecznie na bosaka, by kontakt z naturą był pełniejszy. Jedną z najzabawniejszych scen filmu to ta, gdy rozgniewana Irena wsiada do samochodu i odjeżdża, zostawiając biednego inżyniera w środku lasu boso, w garniturze, z podwiniętymi nogawkami spodni. Ale to filmowa Irena. Ta prawdziwa kochała las bardziej rozsądnie.

Kiedy urządziliśmy w Warszawie nasz pierwszy własny dom na osiedlu Groty, nie mogło oczywiście zabraknąć lasu w pobliżu. Wówczas mieliśmy całą majestatyczną puszcę na wyciągnięcie ręki. Polanki, uroczyska, łąki pełne kwiatów zbieranych przez małżonkę dla Mamy i rezerwat Łosiowe Błota – to były miejsca naszych codziennych spacerów. Codziennych, o ile Irena nie podróżowała akurat gdzieś po świecie z koncertami. A wyjazdy były częste. Tym bardziej ceniliśmy czas, który mogliśmy spędzić razem wśród drzew i ptaków.

Gdy po latach pobytu w Ameryce zapadła decyzja o naszym powrocie do Polski i Irena miała zająć się wyszukaniem jakiegoś lokum, nie miałem wątpliwości, że będzie szukała nie tylko odpowiedniego mieszkania, ale i odrobiny lasu w pobliżu. To było silniejsze od niej. Nie myliłem się.

W 2007 roku kupiliśmy mieszkanie na osiedlu Winnica, przy pięknym lasku białoleckim. Irena spędziła wiele miesięcy, szukając właściwego, zielonego i bezpiecznego otoczenia w Warszawie, które dawałoby nam bezpośredni kontakt z naturą, miejsce na odpoczynek, relaks i długie spacerunki. Ja nie mogłem wyrwać się tak od razu z mojej pracy w Stanach. Zważywszy, że moje prace badawcze były w dużej mierze finansowane



przez rząd amerykański, jako obywatel tego kraju miałem obowiązek doprowadzić je do końca. Wstępnie uzyskałem zgodę na półroczne pobyty w Polsce, podczas gdy resztę czasu poświęcę na dokończenie moich amerykańskich badań związanych z metodami programowania używanymi do projektowania kolejnej generacji nowych amerykańskich pojazdów latających.

Podczas moich pobytów w Stanach, gdy Irena już była w kraju, praktycznie codziennie byliśmy w kontakcie przez Skypa. Towarzyszyliśmy sobie wzajemnie w codziennych czynnościach – gdy ja jadłem śniadanie, Irena w kraju obiad, a podczas mojego lunchu Irena jadła kolację w Warszawie. W ten sposób meblowaliśmy nowe gniazdko, które praktycznie Irena urządziła całkowicie samodzielnie, jedynie najistotniejsze sprawy konsultując ze mną przez Internet. Wywiązała się z tego zadania znakomicie. Gdy przyjechałem na Winnicę, czułem się dziwnie, widząc, jak wiele trudu i wysiłku Irena włożyła w remont i umeblowanie naszego nowego, warszawskiego lokum, na skraju pięknego lasu, wśród starych dębów, kolorowych krzewów i kwiatów.

Zaraz po przyjeździe Irena zabrała mnie na długą wędrówkę po lesie i wzdłuż Wisły. Te okolice stały się najczęstszym kierunkiem naszych codziennych spacerów i odkrywania nowych uroczych zakątków w okolicach Winnicy. Przewędrowaliśmy tam chyba wszystkimi alejkami. Mieliśmy rzecz jasna swoje ulubione trasy, ulubione drzewa i ławeczki.

Kolejne warszawskie lata były bardzo owocne dla Ireny. W 2007 roku nagrała nowy album „Małe rzeczy” w studiach w Izabelinie i w USA, który został wydany w 2008 i podpisała kontrakt z Wydawnictwem Prószyński i Spsółka na wydanie swojej autobiografii pod tytułem „Motylem jestem, czyli piosenka o mnie samej”. Książka ta zredagowana w formie wywiadu-rzeki jest częściowo oparta na prywatnych zapiskach Ireny, z których zaczerpnięty został cały poprzedni rozdział („Był ktoś – Michał”). W przyszłości mam zamiar wydać również tę Jej bardzo osobistą autobiografię w takiej postaci, jaką nadała jej sama Irena, gdyż jest zdecydowanie bardziej inspirująca i głębsza.

Jesienią 2008 roku Irena otrzymuje Laur Elegancji z rąk włoskiego projektanta Vinicio Pajaro. Ceremonia odbywa się w auli Audytorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie podczas gali „Sztuka w Modzie”. W poprzednich latach Laur Elegancji odbierały m.in.: Jolanta Kwaśniewska, Grażyna Brodzińska, Hanna Gronkiewicz-Waltz i Elżbieta Penderecka. Laur Elegancji jest wyróżnieniem przyznawanym przez dom mody Vinicio Pajaro dla osób zachowujących swój wyjątkowy styl w modzie, sztuce, biznesie i kulturze.

Z kolei w USA, w uznaniu zasług na polu promowania kultury polskiej w Ameryce i rozśławiania Polski w świecie, Irena została wybrana Człowiekiem Roku 2008. Po moim kolejnym przyjeździe do Warszawy, widząc Irenę promieniującą radością z nowych sukcesów zawodowych, nie mogłem Jej odmówić udziału w programie, który chciała zrealizować TVP w ramach cyklu „Taka miłość się nie zdarza”². Jestem z natury osobą prywatną i nigdy wcześniej nie zgadzałem się na żadne wywiady czy programy telewizyjne. Zgodziłem się

² Taka miłość się nie zdarza, Odcinek 16, Sezon 2 (2008)

<http://player.pl/programy-online/taka-milosc-sie-nie-zdarza-odcinki,14/odcinek-16,irena-jarocka,S02E16,550.html>



pod warunkiem, że realizacja nagrania obędzie się bardziej kameralnie, w ogródku przed naszym domem na Winnicy.

Białołęcki rok 2009 rozpoczął się wielką niespodzianką dla Ireny – została laureatką prestiżowej nagrody „Muzykomaniak Roku 2008” w PR 1 Polskiego Radia. Otrzymała 28% głosów, na drugim miejscu była Maryla Rodowicz z 19%, na trzecim Halina Kunicka z 15%. Kilka miesięcy później zostaliśmy zdobywcami „Srebrnego Jabłka” magazynu PANI. W tym też roku Irena wystąpiła na festiwalu w Opolu (Superduety) i Sopocie (Koncert z okazji 100-lecia Opery Leśnej), a piosenka „No to co” z albumu „Małe rzeczy” została wybrana przebojem Lata z Radiem.

Rok 2010 i kolejne nakłanianie mnie do wspólnego udziału w teleturnieju Polsatu „Ona i On”. Nagroda ma być przeznaczona na cele charytatywne, więc w końcu ulegam presji. Irena była pewna, że wygramy i chciała przeznaczyć nagrodę na rzecz Centrum Onkologii Dziecięcej we Wrocławiu. Tak się stało, wygraliśmy maksymalną stawkę pieniężną.

Często patrząc na Nią, zwłaszcza po sesji zdjęciowej i programie telewizyjnym: „Irena w obiektywie Justyny Steczkowskiej”, zastanawiałem się, skąd się u niej bierze ten przyływ energii i ten promienny urok na twarzy po powrocie do kraju. Przecież ukończyła 63 lata, a prezentowała się coraz lepiej – jak dobre wino, które nabywa nowego smaku. Posiadała to coś specyficznego, wyrafinowanego, co zwykle nazywamy „bukietem wina”. Gdy pytałem skąd to się bierze, niezmiennie odpowiadała, śmiejąc się: „Po prostu jestem upartą szczęściarą, a na spacerach do naszego lasu będę wyciągała ciębie codziennie, byś też zdrowo się trzymał”.

Z nowych nagrań w 2010, „Break Free” długo oczekiwany duet Ireny Jarockiej z Michałem Boltonem wreszcie ujrzał światło dzienne, ukazują się też dwie nowe składanki z największymi przebojami Ireny, a tuż przed Bożym Narodzeniem ma miejsce premiera nowego albumu pt. „Ponieważ znów są Święta”.

W kolejnym 2011 roku, w uznaniu dokonań artystycznych, Irena zostaje uhonorowana własną Gwiazdą w Alei Gwiazd Polskiej Piosenki w Opolu. Ceremonia odświeżenia Gwiazdy odbywa się podczas jednego z festiwalowych dni, 10 czerwca, na opolskim Rynku. Dalej, kolejna intensywna trasa koncertowa roku 2011 zakończyła się ostatnim występem w dniu 14 sierpnia na Pikniku Rodzinnym w Szczepankach, w gminie Łasin. Byłem na tym koncercie. Przedtem spędziliśmy razem kilka dni w Ciechocinku – laryngolog zalecił Irenie pobyt tam, by wzmocniła struny głosowe po forsownym sezonie. Odśpiewała ten półtrogodzinny koncert, jak zawsze pełna energii i chęci działania. Trzy dni później dowiedzieliśmy się o strasznej chorobie – nowotwór mózgu i konieczności natychmiastowej operacji, która odbyła się w dniu urodzin, Ireny 18 sierpnia 2010 roku w Warszawie, w cztery dni po Jej ostatnim koncercie.

Zrezygnowałem z pracy, nic nie mogło być ważniejsze od Niej. Niestety, lekarze nie robili wielkich nadziei. Po dwu miesiącach od operacji jest stan zdrowia znacznie się poprawił, więc rozpoczęła przygotowania do koncertów. Jednak choroba zaatakowała podstępnie i postępować gwałtownie. Ostatnie nasze pięć miesięcy spędziliśmy, ciesząc się sobą i urokami naszego ogrodu oraz lasu białołęckiego. Pożegnała mnie kurczowo, trzymając się mojej dłoni 21 stycznia 2012. Patrząc na Nią tak piękną jak nigdy, myślałem jedynie o tym, dokąd ten Anioł odlatuje. Wierzyła, że byliśmy sobie przeznaczeni i obiecała, że zawsze będzie ze mną.